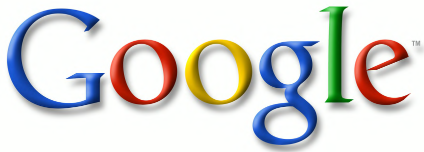




LISTY ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

od roku 1835 do 1844

pisane do

EDWARDA JAROSZYŃSKIEGO

z oryginałów znalezionych niedawno w Hajsyńskim powiecie
we wsi Hruźce na Podolu

ogłosił

Marius Gorżkowski.



W KRAKOWIE
W DRUKARNI „CZASU" W. KIRCHMAYERA.
NAKŁADEM WYDAWCY.
1871.

Jak dzieje przeszłości krajowéj, tak również i dzieje wielkich postaci, zarówno są dla nas uczące jak drogie.

Historyja wtedy tylko jest prawdziwą, gdy wszedłszy w piersi umarłych już ludzi, którzy tu mieli na ziemi swoje wpływowe istnienie, — w ich serce — w ich duszę, będzie tém właśnie, czém było za czasów ich tutaj bytności, własne ich życie.

Człowiek jest tylko czasowym na ziemi przybyszem; jest gońcem, albo posłanym z krajów dalekich, który nic nie ma własnego, prócz nakazu i missyi; ztąd każdy ruch jego i każdy odcień — każdy zewnętrzny rys jego wśród społeczeństwa i domu, ma swoje życia znaczenie, myśl, powód i źródło, z którego powstał; ma swe warunki, przy których się rodził, wyrabiał i potém znów rozpowszechnił wśród ludzi.

Z czcią i przejęciem się wielkiém otwiérać trumny zamarłych już ludzi, a patrząc w ich twarze, wskrzeszać ich życia dawniéjsze, — duch, serce, uczucia i myśli minione; jest-to nie widząc swém okiem nigdy tych ludzi w ich życiu, odrazu ich spostrzedz; — jest-to nieznając, odrazu ich poznać głęboko; — z niemi połączyć się myślą, uczuciem, a nawet ledwiebym nie rzekł, z niemi się złączyć i mową!

W niniéjszym zbiorze przeróżnych listów domowych, zasnute młodzieńcze jest życie wielkiego poety. — Pisane one do przyjaciela poufnie, lecz z taką siłą ducha wielkiego, że w nich się migoce i chwieje, jak gdyby najgwałtowniéjsza fala wypadków domowych.

Tu się kołysze to pasmo życia ich niegdyś, co niby skromnie napozór, ale płynęło tak potoczyście i jasno, jak płyną czasami te białe i przeźroczyste obłoki po-pod błękitem niebieskim. Z tego-to pasma ich życia wynijdą i owe złote jeszcze młodzieńcze chwile przedślubnych marzeń, kiedy w oddali, snuła się niby już tkanka, do weselnego kobierca i chwile życia następne.

Zygmunt Krasiński, obrawszy za przyjaciela swojego, Edwarda Jaroszyńskiego, ciągle powierzał jemu całą swą duszę: łączyły ich razem jednakie katolickie przekonania naszéj wiary świętéj, poczucie życia wyższego — tesame studja nauk niemieckich, o których w końcu tych listów, obszerna jest mowa. Obaj za życia swego na ziemi sięgali ciągle swém okiem w ten przyszły świat wiekuisty, w którym się rychło spotkali razem, po bardzo niedługim tutaj wśród ludzi pobycie.

Listy Krasińskiego pełne ognia i poezyi, musiały i w Jaroszyńskim Edwardzie nadzwyczajne obudzać uczucia; wielki poeta dostrzegał w nim pewnie obfite tło jakieś myśli i serca, gdy rzucał mu w duszę, ciągle listami, jakieś obrazy z kwiatów, promieni i tonów.

Będąc rówiennikiem wielkiego poety, Edward Jaroszyński rodził się w *Tywrowie* na Podolu w r. 1812; pierwotne młodociane odbiérał nauki w *Zeliborzu* pod Warszawą; mając lat 19, to jest lat tyle, w których się dusza rozkwita najpiękniejszémi kolory, umiał pozyskać zaufanie u generała Kamińskiego; na jego nawet ręku generał skonał następnie.

Za utrzymywanie pismiennych stosunków z zagranicą został obwiniony, i za karę wysłany do Wołogdy, gdzie dwa lata ciągle przebywał. Tam właśnie jako młodzieniec i wykształcony i pełen wyższych przymiotów, bywał w domu gubernatora, gdzie się w nim zakochała córka jego; owa w listach Krasińskiego wspomniona sprawa pierścionkowa jest właśnie oznaką tegosamego wypadku.

Żyjąc zresztą w oddali, Jaroszyński studjował Estetykę, Psychologiją i Filozofiją Hegla szczególnie; pozostały dziś jeszcze własnoręczne jego notaty z owych czasów, przechowują się w Kubliczu u jego syna Cesława Jaroszyńskiego, w znacznéj ilości.

Powróciwszy ułaskawiony do kraju w r. 1838, przez cały rok bywał w Pieczarze w domu Swiejkowskich, gdzie poznawszy pannę Eleonorę Swiejkowską, osobę, którą wszyscy znajomi nazywać zwykli aniołem skromności i słodyczy, poślubił ją w r. 1839. Śliczny list Krasińskiego w niniéjszym zbiorze podany pod Nr. 6, tak wymownie uczcił tę chwilę, niosąc mu zdala, jak gdyby jasne promienie najpiękniéjszych życzeń do ślubnego wieńca.

Niedługo jednak strumienie życia cichego chwiały się jemu przy domowém kole; zbladły mu wkrótce pociechy, poprzychodziły cierpienia, bo w roku 1841 zachorowawszy, pojechał do Włoch, Niemiec z swoim lekarzem domowym. — W Rzymie trafił on na niezwyczajne wypadki; a gdy Ojciec święty był do Gajety odjechał, pobożny gorliwy, tknięty niedolą Ojca świętego, złożył mu zaraz ogromny ratunek pieniężny, a potém znów pokrzepiony na zdrowiu powrócił do kraju. W roku jednak 1849 znów zachorował i niebezpieczniéj niż wprzódy; znów się więc udał za granicę i w Paryżu w r. 1853 umarł w głębokiéj i dolegliwéj chorobie. Z żalu, z boleści umarła po nim wkrótce i żona; ich zwłoki sprowadzone z Paryża, złożone zostały w m. Kunie, w kościele niegdyś OO. Kapucynów, w Hajsyńskim powiecie.

Ogłoszone tu listy wielkiego poety, nietylko mają biograficzną swą wagę, lecz nadto wskazują nam jasno stan duszy poety i wszystkie te jéj odcienia, z któremi zaczynał pisać lub kończył swoje genialne utwory. Niejedna myśl w nich rzucona, niejedne tu zapalone uczucia falami iskier, przeszły następnie i w literackie jego arcydzieła.

Jako więc źródło do badań téj przecudownéj naszego wieszcza postaci, ogłosić te listy obecnie przedsiębierzemy.

Kraków, dnia 13/25 Października
w dzień Św. Edwarda wyzn.
1870.

Marius Gorżkowski.

LIST I.

WIEDEŃ, 1835 R. — D. 10 DECEMBRA.

Drogi Edwardzie!

Padłem na kolana i podziękowałem Bogu, kiedym przed kwadransem list twój z 24 Now. odebrał; — zdało mi się że coś jaśniéjszego, lepszego stało się na świecie; — że wiosna jakaś niespodziana wróciła: bo trza ci wiedzieć, że tu smutne, okropne wiadomości się rozchodziły — tak okropne, że już tylko pomoc w Bogu zdawała się zostawać, — że po nocach żal cięższył mi nieznośnie na sercu, — że po nocach widywałem straszne miejsca, straszne, ostateczne sceny, — że wtedy jeden ratunek był mój w modlitwie, jeden ratunek chodzić do kościoła Św. Szczepana i msze kazać odmawiać, jakby już za duszę co odleciała, — za istotą, z którą wieczny, straszny rozdział nastąpił! Oh! przez ciebie ja wróciłem znowu pod te ciemne arkady gotyckie, dla ciebie oddawna rozbratany z śpiewami, z obrzędami, z temi gromnicami wśród ciemności, poszedłem przed ołtarze:

Bóg widzi, żem szczerze się modlił, żem silnie ściskał dłonie w niewymownym żalu, żem Go prosił jak dziecko co krzyczy i krzyczy, i chce koniecznie czegoś! Chwała Jemu, chwała Bogu, — Bogu, że rozśmiały się niebiosa, że przynajmniéj otucha się znalazła; że niema tego przedziału gorszego od śmierci, w którym wié serce o drugiém że bije, a choćby pękło za nie, pękłoby samo, nadaremnie.

Są smutne pasma życia, są dni stroskane na świecie, — są położenia, w których dusza odpycha jak może ciało, by jéj lepiéj było po rozerwaniu łączących tasiemek; ale są téż chwile zbawienia, chwile uniesienia i dziękczynień dla téj miłości, która strzeże i z toni wyrywa. Im toń głębsza, tém akkord wesela co z niéj wychodzi, potężniéjszy, anielszy. Taki ja usłyszałem dzisiaj!

Słuchaj! Ty chcesz wciąż mi dowieść, że ja dobry byłem dla ciebie, a ty nie dla mnie; porzuć te dowodzenia, nie możesz w nich tylko sofizmami postępować. Powtarzam ci, żeś ty był dla mnie nie po ludzku dobrym ale po anielsku; że żadnéj równości w tém nie istnieje między nami; że ja czuję w tém całą niższość moją. Myślą zapewnie i sercem kochałem cię mocno, wielce, tak jak wypaść musi z mojéj natury nie zimnéj, ale czynami nigdy! Czynem ty mnie kochałeś; ty mi tysiąc dowodów dałeś; co są w porównaniu twojego położenia moje okoliczności?... Choć na brzegu przepaści, choć na progu śmierci, ruszałem się wolno, niepodlegle: nie ciężyła przyszłość nademną ponura. Żyłem cały namiętnością, ogniem, który mógł zgasnąć wprawdzie, ale z własnego popędu, w jednéj chwili. Cóż dziwnego, że w takim stanie mogłem myśleć o tobie, ale ty żeś o mnie myślał; o! Boże, pobłogosław mu za to na wieki! Nie-

mógłbyś wynaleźć innego adresu, przez który mógłbym pisać do ciebie, mam w tém pewną przyczynę; — może oskarżysz mnie o podejrzliwość, ale to nie jest podejrzliwością; to jest tylko chęć odsunięcia pokusy: na co kusić ludzi a potem na nich się skarżyć?

Dzień 16 Nowembra był dniem śnieżnym, ponurym, z tych dni nieśmiertelnych, które nigdy w pamięci nie wymierają: z tych dni zabijających, stanowczych, które odmieniają postawę, twarz, ruchy człowieka, a w duszy jego coś niszczą, przetwarzają; z tych dni koniecznych, w których objawia się siła przeznaczenia, jakby siła jaka natury ślepa, ogromna, bez ale!... Ten dzień przeszedł mi nie w Wiedniu, ale w jego okolicach. Ten dzień przeszedł mi jak sen, a został się we mnie jak męka: Kiedy pomyślę o nim, zda mi się jakobym widział rusztowanie i słyszał ostatnie namowy księdza. Po tym dniu życie moje stało się bryłą granitu: ni mchu, ni rosy! Po tym dniu spotkałem się z p. K...... był u mnie, mówiliśmy o tobie, mówiliśmy o rozmaitych zresztą, a bardzo obojętnych rzeczach. Byłem spokojny, on nie wié co we mnie się działo, tego pewny jestem! Potem on pojechał, i jechał tak wściekle prędko, że dogonił to, za czém gonił nadaremno, i znów obserwował ten drugi przedmiot ciekawości swojéj we Lwowie. W tém podobny do podróżującego anatomisty, co w jedném mieście jednego, w drugiém drugiego trupa egzaminował, a o duszy co z nich wyszła nic się nie dowiedział. Ta dusza Edwardzie, obleczona cieniami śmierci, gdziekolwiek ona jest w téj chwili, proś za nią Boga i umiłuj ją. Ta dusza z dwóch części się składa, z dwóch serc wyzionięta, i teraz już jednością w wieczności! Chwila kiedy opuszczała ciało swoje, straszną była, — straszną, powiadam ci!

Ach, gdzież to drugie ciało, opuszczone, martwe? gdzie ono w tej chwili? Ty je ujrzysz, ty odmówisz modlitwę wspomnień nad nim. Ty je pobłogosławisz! nieprawdaż?... ale dość o sobie! to nawet za wiele, w tém egoizm mój!

Bądź łaskaw, pisz teraz mi zawsze pod adresem: *Simmy banquier* à Vienne. On mi odeszle tam gdzie będę. Wybieram się ostatnich dni Decembra do Florencyi, miałem jechać natychmiast po tym dniu, o którym ci wspominałem, ale wstrzymało mnie przeczucie śmierci o Konstantym z cholery, i dlatego przeczekałem jéj kryzys w Lombardyi.

Co się tycze listu z Gratz to ja się pomyliłem, bo pisałem ci go między Gratzem a Wiedniem, a oddałem na pocztę w Wiedniu, ale że mi się to wszystko bardzo mieszało w głowie, tom ci napisał à Gratz. Był to ten list, w którym ci wspominałem o pokusach, które czułem w Wenecyi, i które doprowadziły mnie do czynu złego — opłakanego!

Ach, miałem chwile nieskończonej goryczy: wszystko co piękne i kochane, łamało się przedemną, jak lód co w kry się rozsypuje. Widziałem spokojne czoła, co tak pękały z rozpaczy; miałem dni, w których samo szczęście, samo uniesienie stawało się ironiją, — w których pomyśleć o uśmiechu choćby smętnym, tkliwym, było niesposób, w których łzy nawet byłyby szyderstwem, dziecińctwem, oznaką marną bolu; bo żeby go wydać, wyrazić, — chyba trzeba było skonać!... Ale przeszło, przeszło. Ty wiesz, że w wspomnieniu trumny, oświeconéj promieniami zachodniego słońca, trumna znika wreszcie, jedno światło się zostaje; — w tém fatalizm — dusz naszych Rządzca dobrodziejem jest! — Niech cię Bóg

wszechmocny strzeże i błogosławi, ochroni od wszelkiego złego; wróci nam, wróci mnie ciebie, Edwardzie drogi. Te same życzenia i uściski przesyła ci Konstanty przeze mnie; ciągle rozmyślamy o tobie razem, wspominaliśmy ubiegłe chwile, frazesa twoje ulubione, zwyczajne; nieraz z westchnieniem pytaliśmy się jeden drugiego, co on robi, gdzie on jest teraz. Ach, ty biedny, ty, coś zawsze gadał o lokomocyi! Ale da Bóg że się skończy wszystko szczęśliwie, że prawda się okaże, i że się obaczymy znowu. Pisz zaraz do mnie! addio! A jeśli ujrzysz.... wtedy bądź pociechą, powiedz, iż wiesz iż ten człowiek kocha, kogo przyrzekł kochać. Jeśli się dowiesz o szczegółach różnych, to napisz.

Dzięki ci, dzięki mój Edwardzie, że tak myślisz o mnie. Twój *Zygmunt.*

The Phashion także ci się przypomina, — nieraz w łysinę się palnął, mówiąc o tobie i żałując ciebie.

LIST II.

Opinogóra, d. 27 Aug. 1838 R.

Drogi Edwardzie!

Pisałem raz do ciebie zaraz za przyjazdem do kraju, drugi raz w trzy tygodnie później; trzeci raz pokrótce zapraszając cię do Knyszyna na początku Septembra; ale teraz już tam nie pojadę, z ojcem podobno

niedługo do Włoch wyruszę. Przesłałem ci wreszcie pierścionek, który niegdyś do Rajeckiego należał, przez p. Proskurę. Na to wszystko żadnéj a żadnéj odpowiedzi od ciebie niemam. Nie wiem co myśleć, co przypuszczać? Listy moje pod kopertą siostry twojéj powierzone.... w Brodach zdaje się iż przepaść nie powinny były; możeś ty mnie odpisał przez poczty krajowe nie przez Galicyją i list twój gdzieś się zawieruszył, lub dopiéro 1839 roku mnie dojdzie. Moje listy zawiérały dużo rzeczy, na które, że niemam odpowiedzi twoich niezmiernie mi przykro i tęschno, że tak powiem.

Była tam i ciągła prośba moja do ciebie, którą cię zaklinałem byś czuwał nad nią, i jeśli jéj położenie kiedykolwiek wymagać będzie, nadbiegł jéj na pomoc, a mnie zaraz o tém uwiadomił.

Donieś mi też co się z nią dzieje, co mąż robi, w jakim ona stanie umysłu, bo zupełnie przerwane są między nami komunikacyje; a codzień czuję jakby przekleństwo wiszące mi nad głową, za to, żem dowiódł ją do nieszczęścia. Ona i ja będziem tego znamię całe życie nosili. Raz jeszcze polecam ci ją — powierzam ci ją: ty się nie domyślisz może nigdy, ile goryczy jest dla mnie w tych słowach, jednak tak szczerych, tak pełnych wiary w ciebie, które tu piszę.

Na miłość Boga mi odpowiedz; na miłość Boga cię proszę, a pisz do Warszawy. Choćbym już był wyjechał za granicę to mi list twój prześlą, a z miasta piérwszego, w którém się zatrzymamy, doniosę ci gdzie nadal masz mnie szukać.

Bądź zdrów, i spokojniéjszy i szczęśliwszy odemnie, na coś zasłużył — bo i lepszy jesteś. Twój *Zygmunt.*

LIST III.

Neapol, d. 29 Decembra 1838 r.

Mój drogi Edwardzie!

Na tych samych brzegach, z których wsiadałem z tobą na łódkę, z których patrzałem na okręt parowy, co z tobą odpływał i żegnał mnie czarnym dymem gdyby krepą żałoby; — na tych samych brzegach, gdzieśmy się o donnę Giovaninę i o siostrę twoją pytali, przedzieleni murem od tego głosu, co nam tak dziwnie odpowiadał, nam stojącym pod obrazem Chrystusa, — wczoraj twój list odebrałem.

Długo on szedł, aż przypielgrzymował do mnie; — Konstanty*) go w Warszawie włożył w list swój i przesłał tutaj.

Wszystko co mówisz Edwardzie, może być prawdą *objective*, ale nie jest dla mnie *subjective*. Trybunał mojego rozumu nie może się zebrać i wyroki głosić za mną, tam, gdzie sam przewiniłem: on tylko umié mnie potępić i przebłagalnych domagać się ofiar. Ty nie wiész co to pamięć kochanéj połączona z wyrzutami, — co to jéj głos cichy, we wnętrzu duszy szepczący; — jak tylko ludzie zasną dokoła, a ty nie możesz zasnąć, bo i kochasz, i lękasz się tego głosu zarazem, i radbyś go za-

*) Konstanty Danilewicz doktor, przyjaciel Krasińskiego.

trzymać, by przez wieki mówił do ciebie, i chciałbyś go odegnać, by pokoju ducha dostąpić... a potem, gdybym choć marzyć mógł, choć oszukać siebie, choć przepuszczać, że się coś dobrego i świętego ze mnie w niéj zostało; — że ona uwierzyła światom ducha, które jéj objawić pragnąłem: — ale nie — ja myślę i to mnie nęka, że ona w nadziejach zawiedziona na szczęściu otruta — teraz przeklina mnie i złorzeczy wszystkiemu, czem ją natchnąć chciałem, czem przez czas jakiś natchniętą była: — i dlatego, że to natchnienie widomego kształtu nie przybrało, ona o jego idei saméj źle trzyma, ona w goryczy serca, zaprzecza moim myślom, dlatego że moje czyny im dorównać nie mogły: — że moje indywiduum oddzielone od niéj. Bo dusza niewieścia tém różni się od męzkiéj, że dopiéro przez objawienie prawdy prawdę pojmuje, ale nigdy *a priori*. One wszystkie podobne Tomaszowi, co ran potrzebował się dotknąć palcem, by sercem uwierzyć w Zmartwychwstanie Pańskie; i dlatego też one są pięknością na ziemi, bo same są *prawdą* wydaną zarysami materyi, owianą welonem zmysłowości! A to zlanie się melodyjne ducha z ciałem, to zjednoczenie się, to pojednanie się dwóch napozór sprzecznych pierwiastków, duszę nam potopem ognia zalewa i unosi nas szałem! — W mężu niema tego tak ścisłego połączenia, zidentyfikowania; duch zawsze górą się trzyma. On panuje i trzyma w poddaństwie ciało, — jakby pewną pogardę objawia ku ciału; ztąd mniéj piękny, mniéj prześliczny, ale wielki i spokojniejszy.

Mojéj winy nikt względem niéj ocenić nie zdoła, oprócz mnie samego: przez niesłychane walki dowiodłem ją wreszcie do nieszczęścia. — Ona przewidywała wszystko co się stało, ona nigdy nie zapomniała o przy-

szłości, nigdy pokoju szczęścia nie widziałem w niéj, nigdy nie wyglądała na *równą mi*, ale zawsze na moją ofiarę, poświęcającą się, ale z głęboką wiedzą że się poświęca. Czyż nie było okrucieństwem walczyć z takim wyrazem jéj twarzy, z takiém przekonaniem jéj rozsądku, a nie zważać nań, czyż nie było najogromniéjszém samolubstwem? — Wiem i to, że namiętność ma swój świat własny, na który teraz zapatruję się z sfery mojego rozumu; a zatem wierzę wiarą nie swoją, to coś, które wtedy wrzało we mnie. Wiem i wiele innych rzeczy jeszcze, ale cóż mi to pomoże? Ją kochałem, a teraz ona smutna i cierpiąca; ona bez nadziei jakiéjkolwiek przyszłości, będzie jéj przekleństwem niezadługo, żyjącą każdego jéj dnia torturą, to widmo, które mnie ściga. — Daj Boże, by się moje przeczucia o niéj nie spełniły.

Niema tragedyj okropniejszych nad te, co się odbywają koło ognisk domowych: niby cicho, niby dobrze, zajrzysz do salonu, zgromadzona rodzina cała, na ich twarzach nie poznasz nic, wyjdziesz z dobrą myślą, westchniesz tęskniąc za podobnem spokojem i życiem; a ledwoś próg przestąpił, już oni z krzeseł się zerwali, z ich lica zeszła wszelka powszedniość i cisza; najdziksze, najbardziéj jadowite kwasy pryskają im z oczów; rozdzierają się słowami gorzéj niż żelazem; jedni przeklinają drugich! Ale z takowych obrazów ten najstraszniejszy, w którym córka przeciwko matce powstaje, apage, apage Satanas!

Otóż kiedy podobne larwy mnie otoczą, i ścisną i dławią; kiedy widzę jéj twarz bladą i coraz bledszą, i coraz oczy jéj bardziéj gasnące, i w oddali samotne łoże choroby, samotną śmierć i wyrzucającą matce dzie-

je przeszłości; miasto uderzyć ją nożem,— wymawiającą moje imię; a to imię odbija się tak żałobnie, tak kamiennie w sercu nieszczęśliwéj, i ona sama może doda do niego przekleństwo, lub krzyknie, o! Boże! czemuś nasłał na mnie tego człowieka! Oh! wtedy, wtedy, wierz mi, piekło staje mi się zrozumiałém, jasném, widomém, dotykalném. Napróżnobym z niem się pasował. Ono nie zewnątrz, nie głęboko podemną, ale głęboko we mnie! Daruj, że się powtarzam, daruj, że cię może nudzę, bo takie wszystkie uczucia są treścią własnéj duszy, ale nie drugich. Koniec więc temu! Ach! ty bądź zawsze dobrym dla niéj (pamiętasz co Trenta twe wyrzekły: *la sua morte sara dura*, a kiedym się pytał *perche?* odparły: *perche é giovane*, *sensibile e affetionato.* Ten dzwon pogrzebny w moich ustach, nie przestał nigdy się odzywać).

Życie moje w Neapolu jest dość przykrém: klimat mnie ten zabija; siedzę, bo ojca nie chcę samego zostawić, a ojcu tu mniej-więcéj dobrze.

Co do mnie, znam tylko jednych K...... dobrzy ludzie, ale coś suchego w ich domu. Fashion z nich moralne mumje porobił, balsamiczne może ale wyschłe. Potem życie moje nie może być nie przykrém; ileż razy na dzień, spojrzeniem lub słowem nic nieznaczącem ojciec mi objawia, żem jego nadzieje zniszczył, i że oba samotni jesteśmy na ziemi! Najczęściéj wieczór przepędzam u siebie sam jeden: — świéca gdzieś za parawanem tleje, myśli moje snują się bez końca, ale nieskończonością goryczy, smutku, wstrętu. Jeśli czasem zjawi się cicha chwila wewnętrzna, twórcza, natchniona, to cud!... cud, który dawniéj bywał powszednim chlebem. Już ta natura tak ogromna, tak czysta, tak wdzięczna,

nie budzi we mnie braterskich uniesień; — morze darmo huczy i zaprasza, — już nie kocham żagli ni wioseł. — Estetykę Hegla przewracam w dzień kiedy oczy nie bolą; ale rozum jest kwiatem, który na sercu rośnie: — gdy ta rola jego bez rosy ożywnéj, on sam zwiędnąć musi! I tak żyję nie ten, którym-bym być powinien, — ni ten, którym byłem niegdyś, — będeż innym kiedy? Co we mnie świeżém, niepokalaném zostało, to przyjaźń dla was: dla Konstantego i dla ciebie! w tém żadnéj zmiany, oprócz zmiany wzrostu. Czemuż nie chcesz mi pierścionkowych opowiedziéć dziejów? Kiedyż się zobaczymy, gdzie? nieodkładaj! Każda chwila stracona już nie wraca! Choć w oddali, żyjmy w spójni ducha: wynurz wszystko, co składa treść dzisiéjszą lub przeszłą twojego; a jeśli umrę przed czasem, to przynajmniéj uniosę z sobą całą duszę przyjaciela.

Zygmunt.

Odpisz: Roma, Torlonia.

LIST IV.

Neapol, d. 20 Stycznia 1839 r.

Drogi Edwardzie!

Jakżeż dobry jesteś, — dobry dla mnie. Temi kilku słowy kreślonemi jéj ręką, przeniosłeś mnie w dawne czasy; zmusiłeś serce moje do bicia już niedoznanego od

wieków. Dzięki ci, bo dusza moja leżała odłogiem podobna do ugoru spiekłego, na którym każda skiba gdy się jéj dotkniesz w proch leci. Lepiéj Edwardzie na téj ziemi doznać wielkiego nieszczęścia niż wielkiego szczęścia; bo pierwsze jeśli nie zdruzgocze jak piorun, sił podda; a drugie z sił rozbierze na zawsze. Żebyś mnie widział, kiedy leżę wieczorami sam jeden w swojéj izbie, myślałbyś że już dostałem się do piekła; nie do owego gdzie płomień bucha, ale do gorszego, gdzie próżnia nieskończona i brak wszelkiéj nadziei i myśli; do piekła dusz, które niegdyś żyły w niebie i poszły na wygnanie potem, i czuję dobitnie w każdéj czasu sekundzie, że nigdy do nieba nie zdołają powrócić; bo z nas samych śmieje się niebo nasze, jak nici z pająków. Wszelki zewnętrzny objaw, o tyle tylko nas może unieść i rozradować, o ile w nas jest usposobienie do przyjęcia go w siebie. Inaczéj wszystko martwe i głuche! Nie ten golf jest błękitny, ale myśl moja; a dziś gdy myśl moja szarą się stała, co mi po tych falach?

List twój do Warszawy, przesłał mi tu Konstanty i zaraz ci nań odpisałem przez Brody, Winnicę na Tywrów. Portu nie pamiętam, o którym Przezdziecki czyli Don Sebastjan tobie wspomina, raz go tylko widziałem w wiliją wyjazdu, i jeślim zostawał wtedy, to zapewne dla pokrycia ciężkiego smutku, który mnie rozdzierał. Koło tych samych dni oddałem S.......... list do ciebie niezapieczętowany, bo tego żądał trwożliwy szambelan, a zatem pełny metafor, hieroglifów tyczących się jéj położenia. Jeśli ci go nie odesłał jak obiecał, to może żona jego skonfiskowała ten list i sąsiadkom go swoim pokazuje: mądre, jeśli co zrozumieją z mojego stylu.

Zawsze jednak, proszę cię, upomnij się, bom ciężkie głupstwo popełnił, ale z rozpaczy że żaden list mój nie dochodzi ciebie. — Są tu K..... wszystkie zebrane razem, i matka, i córki, i panny, i D...... P......, ale zatraciłem już znaczenie słowa tego „kobieta!“

Chodzę często do nich, bo grzeczne i zapraszają; co chwila mnie nękają dwuznacznemi wyrazy, tyczącemi się mojéj przeszłości: — potrzeba mi w takich razach być bezczelnym, by nie zblednąć jak trup! Serce mi się kraje, a odpowiadam zimno, obojętnie, udając że nic nie rozumiem! To strach, jak wszystko wiedzą na świecie: przytaczają mi słowa moje własne, czyny moje własne, przeczę ze śmiechem, ale to śmiéch konających; — bo wtedy, wtedy dopiéro widomém, dotkliwém mi się staje, jakem dalece i nieodwołanie imię téj którą-m kochał puścił na łup językom ludzkim... biada mi!... hańba mi! I patrz!.... nie było przez lat tyle chwili jednéj, drobniutkiéj chwili jednéj, w któréjbym nie marzył o jéj szczęściu, o dobru jéj, o chwale jéj, o piękności jéj, a skutek jaki? Rozważ sam, powiedz, czy to nie szyderstwo? nie zabójstwo? nie piekło?... Co ja im zrobię, tym wszystkim teraz? Mogęż usta paplaczy wszystkich zamknąć na wieki?... Co począć z dziewczynami i staremi baby? Trzeba dowcipem je nękać, a jabym chciał je w proch rozetrzeć: a mężczyzna żaden się nie przesunie, żaden nie zacznie gadać, kiedym ja przytomny! Roskosz zemsty nawet niedostępna dla mnie. — Dopiéro gdy wyjdę, gdy niezdołam im nakazać milczenia, oni gwarzą i szarpią: i ja to wiém, i ja tak żyć muszę? A przyszłość moja? Czy ty wiész co mnie czeka? Czy ty wiész, że może za pół roku, obaczę się w najdzikszém, w najzagmatwańszém położeniu, gdzie stracę ro-

zum, nie wiedząc komu się powierzyć, czy djabłu, czy aniołowi stróżowi, czy przypadkowi ślepemu, czy rachubie? I jędze mnie rozszarpią — proś Boga za mnie, ja już i modlić się nie umiem za siebie! Gdy wejdę do kościoła, jakiś wstręt, jakaś dreszcz mnie chwyta; chcę uklęknąć i sztywnieją kolana; chcę zacząć Zdrowaś Maryja, — a to imię Maryja, jedno tylko, samo jedno z ust moich wychodzi, reszta w gardle utyka!

Czyś widział Konstantego? on w tych czasach miał być w Kijowie i zajechać po drodze do ciebie, potém wrócić do Warszawy i ożenić się: — szczęśliwy, że ma proste serce a głęboki rozum; szczęśliwy, że go świeżość młodości nie opuściła. Ale co do mnie, na samą myśl małżeństwa wzdrygam się, jak gdybym nastąpił na łuski węża: bo wiém, że wskrzeszać umarłych jest szalonym zamiarem; a śmierć udać za życie, trupa rzucić komuś do boku, zamiast ciała pełnego krwi i ducha, jest obrzydliwą rzeczą! Tak więc dzień mija za dniem i coraz-em bliższy przepaści: dlatego w tém słońcu nie ma ciepła dla mnie, — w tych śnieżnych żaglach niema ułudy — w tych twarzach wszystkich niewieścich uroku; jedna mi tylko została ręka przyjaciela, i w téj chwili zda mi się że ją ściskam gdy piszę; zda mi się, że takim uściskiem a nie żadnym innym żyć jeszcze. Wszystko inne co mi zdarzy się w życiu, będzie formą tylko a nie treścią, fałszem a nie prawdą, liberyją włożoną mi na barki a nie własną szatą; musem, a nie wolnością; męką, a nie pokojem — i koniec tego zgubnym będzie!

Lecz już dosyć! dosyć! chciałbym się dowiedzieć że nad tobą błysnęła gwiazda szczęścia, że twoje serce rozkwita! Dla siebie pojąć już szczęścia nie mogąc, cią-

gle marzę o niém dla drugich: dla Konstantego i ciebie: niech ci Bóg zdarzy żonę, która odbije duszę twoją, jak czyste zwierciadło! — Odpisz mi do Rzymu, za miesiąc tam będę i aż do pierwszych dni kwietnia.

Boże! tego roku Wielkanoc znów 30 marca jak temu lat pięć — a wy gdzie? Ona, i ty, i Konstanty? Wy trójca moja!

Oh! na ten 30 marca myśl o mnie. Twój *Zygmunt.*

LIST V.

Drezno, d. 16 Lipca 1839 r.

Drogi Edwardzie!

Twój list z 24 marca odebrałem w Neapolu przy końcu czerwca; zaraz nie odpisałem, bo się wybierałem w podróż. Wczoraj tu przybyłem, pojutrze wyjeżdżam, a teraz pomówimy z tobą.

Z powieści o pierścionku, którą mi bardzo mgławym sposobem opowiedziałeś, wnoszę, że byłeś kochanym a kochać nie mogłeś, i przez to byłeś nieszczęśliwym. — Rozumiem doskonale takie uczucie, takie *Lebens* ironją: bo zapewne daleko wyższém jest szczęściem samemu kochać, niźli być kochanym. Za obraz *pamiątek*, za obraz *przeszłości*, za obraz że tak mogę powiedzieć, najpiękniejszéj pory życia mego, najpiękniejszéj i niepowrotnéj, dziękuję tobie takiém samém sercem,

akiém ty mi go dajesz. Twierdzę, że od ciebie jednego *na tej ziemi* odbiéram moralne dobrodziejstwa. Tobie jednemu nic nigdy nie przyniosłem, w porównaniu z tem co mi dałeś; — wyznaję to w pokorze pewnéj ducha, w pewnéj mówię, bo to nie jest pokora, któraby coś w sobie uniżonego miała; — jest to owszem dumna pokora, o tyle bardziéj umiejąca kochać i sił przysparzać kochaniu swemu, o ile bardziéj zobowiązaną na teraz i na zawsze się uznaje. Zachowaj ten obraz u siebie, aż ci napiszę gdzie i jak masz mi go przysłać. W téj chwili nic pewnego, stanowczego w moich obrazach nie ma; kiedy na dłuższy czas gdzie osiądę, zaraz cię poproszę, byś tam ten obraz mi przysłał, a jeśli do kraju na zimę wrócę, to aż do zimy poczekam.

Od-kiedym pisał raz przedostatni do ciebie, sfera ducha mojego *à la búche* (jeśli pamiętasz) przewróciła się na osi swojéj. Dziwne wypadki, których opowiadać nie mogę pismem, bo trzebaby ustami, wciągnęły mnie w myśli i uczucia, które nieco rozgoniły ową czarną, piekielną, przeklętą tęsknotę, co mi groziła zgłupieniem ostatecznem i pozbawieniem wszelkiéj czynnéj siły. Znów uczułem się sobą, uczułem się żyjącym, nie tylko w przeszłość, ale i w teraźniejszość; — w przeszłości też pojąłem ową wielką prawdę, że *życie* jest to, co idzie naprzód i rozwija się jak ideja; nie to zaś co stoi martwe jak marna abstrakcyja; a przeszłość tak w indywiduum, jak w ogóle ludzkości, kiedy ściśle i organicznie nie spojona z teraźniejszym i przyszłym czasem, jest tylko umarłą abstrakcyją! Otóż ja przez lato całe w takowéj żyłem, w takowéj niszczyłem siebie; nie żałuję tego; wszystka i dobra myśl w tém była, myśl tkliwa obowiązku; bojaźń, by nie skaleczyć serca już skaleczone-

go; bojaźń, by nie obrazić miłości własnéj i tak z wielu stron dotkniętéj. Ale téż z drugiéj strony rad jestem temu, żem się wycofał z tego kału zawsze na się zawracającego a nieruchomego, i rad jestem, że mi pojęcie życia wróciło do głowy a jego uczucie do piersi! Jednak umarli gdy zmartwychwstają, nie z łona matki (jak powiedział wielki poeta) ale z trumny wychodzą; i ja téż pod pewnym względem taką koléj odbywam! Nie jest już ten świat mój drogi, który mnie niegdyś otaczał, — smutek nieskończony został mi podstawą duszy: jakiekolwiek na tém tle rysować się będą arabeski, zawsze one tylko fosforycznie błyszczéć będą, a potém owe tło ich pochłonie! Lecz tu nie chodzi o wesołość, o roskosz, o dobrobyt, o szczęście: tu chodzi o myśl życia, o przeznaczenie ducha, podczas jego objawu na ziemi i na potém!

Hegel, powiadasz, stał się gwiazdą twoją polarną, ruszoną tylko magnetycznie w stronę katolicyzmu, zresztą nieubłaganie zatknioną na niebie! A ja ci na to powiem, że Hegel wielkim jest, ale coś większego jeszcze znam od Hegla, to i właśnie owo życie, które wszystko porywa, i kiedy Hegel pisał systema swoje, już zapewne z punktu Heglowskiego ono skoczyło było daléj.

Powiedz mi, czy nie możesz sobie wystawić, że są na świecie, że są w przestrzeniach żyjące rzeczywiste symbola idei; że nietylko ideja w duchu ludzkim rozwija się pod postacią coraz wyższych, czystszych symbolów, które jedne po drugich nikną jak mary; ale że w rzeczy saméj rozwija się w czasie i przestrzeni, za pomocą orm że tak nazwę organicznych, żyjących, jéj treść w sobie zawiérających i będących nią, ale razem nią fdramatycznie działającą, nią wrzącą, buchającą, latającą,

grzmiącą, bujającą w pełni potęgi i życia. Widzisz, ja chcę koniecznie wznieść ciebie do świata duchów! Stary poeta odzywa się we mnie: Ciebie i Hegla chcę opasać łańcuchem szatanów, obwiązać aniołów wieńcami: chcę wszystkie baśnie rodu ludzkiego sprowadzić na stanowisko prawdy, bo mi się widzi, że fałszu i marzeń niema w wszechświecie; bo moje serce czuje, że wszystko co zażądało, co upragnęło, znaléźć musi i ujrzéć. Nie tylko religija i poezyja mogą się zredukować na filozofiją; ale ja myślę, że jak w duchu ludzkim filozofija czysto objawia się pod formą religijną i poetyczną, tak w stworzeniu, w świecie, ideja pierwiastkowa *die Uridee* objawia się pod kształtami religijnemi i poetycznemi, to jest, że nie tylko religija i poezyja są prawdy *subjective* ale téż i *objective.*

Ten świat, te prawdy postępują coraz daléj, — my czujemy ich postęp, my równamy się z niemi, i co się dzieje wśród nich, odbija się w nas, i dwie historyje są na świecie, historyja rodu ludzkiego i historyja świata duchom równoległa: dwie linie a jednak razem zjednoczone, — w tém tajemnica wyższa od wszelkiéj matematyki.

Zkąd inąd wyznać muszę, że tylko znam na ziemi dwa stany duszy szczęśliwe: albo błogie oddanie się myślom zaczerpniętym na łonie wieczności, zupełne zaprzeczenie skończoności filozoficznéj, albo stan lub téż moment skończoności to jest teraźniejszości, podniesiony do najwyższego stopnia potęgi czyli namiętności. — Dziwna nawet, że nigdy nie mogłem inaczéj ukoić rozpaczy pochodzącéj z tego drugiego stanu duszy, jak czytaniem Hegla lub Nowalisa: ile razy chciało mi się skonać z nieznacznych gwałtownych wzruszeń, brałem do rąk

filozofiją niemiecką i z niéj piłem jakby opium ulgi, jakby chwilowe lekkie zapomnienie. Jednak nigdy jéj zupełnie i nie we wszystkiém uwierzyłem: nie miéj jéj za jedyną prawdę: ona *jest* prawdą, ale siostrą wielu innych istniejących w uniwersum; a dopiéro tych wszystkich prawd prawda jest tém co zowią *życie;* jest tém, od czego ród swój duch nasz wiedzie, i czego cząstką duch nasz jest.

To jedno pewném, że wszystko drzémie w duchu naszym, i że wszystko kiedyś będzie jego domem, ojczyzną, wiedzą i miłością! To czuję, tego pragnę i spodziewam się. To mi daléj żyć każe, to mi słodzi mordercze chwile sprzeczności i dysonansów świata! Boże wielki, zmiłuj się nad nami!...

Bo w rzeczy saméj, drogi Edwardzie, zdarza się na świecie chwila takiéj ironii, że zwątpienie chwyta za duszę naszą i prawie bluźnierstwo do ust nam się gwałtem ciśnie: na znikomych widowniach skończoności tyle jest pozornych nieszczęść i błędów, tyle gorzkich zawodów, tyle szyderskich przerobień się uczuć wewnątrz nas i okoliczności na zewnątrz, że nie dziw, jeśli czasem stanie myśl ruszona niemocą i zaprzeczy nieskończonéj dobroci i prawdzie, by wierzyć, że złe jest świata panem, a przypadek jego aniołem, jedynym aniołem stróżem: ileż to prac podjętych a zwiędłych przed osiągnieniem celu, ile namiętnych podrzutów serca, które się na nic nie zdały, ile rozumnych rachób, które wyszły na głupstwa i marność; ile głupstw uwieńczonych świetnym skutkiem; ile błogich chwil za późno zdarzonych lub przypadłych takim istotom, które ich uczuć nie zdołały; ile żądz wiatrom powierzonych, rozproszonych, zniszczonych; jaka okropna walka a ciągła między staro-

ścią a młodością; ile ztąd niesprawiedliwości wzajemnych, zgryzot i wyrzutów; jaka konieczność poświęceń jednéj strony dla drugiéj, a tém samém jaka konieczność okrucieństwa; jakie żale niezapomniane, nieukojone; żale, czy tego, który się poświęcił za straconym ideałem lub szczęściem, czy tego, który okrutnym był, gdy pozna, że był okrutnym; a co chwila zmienia się stosunek okrucieństwa: raz dzieci rodzicom, znów rodzice dzieciom rozżarzone węgle kładą na głowę! Ci, coby kochać się powinni, i czują żę powinni, i czują że Bóg ich na to stworzył — niecierpią się lub nudzą się jedni przy drugich; nie rozumieją się nawzajem! Domy ciche, napozór domy otoczone łanami zbóż spokojnych i sadem owocowych drzew, gdy wejdziesz w ich progi piekłem ci się wydadzą: nie owym gdzie grzmi piorun Bożéj potęgi i gdzie szatan Miltona zasiada na tronie wśród nieskończoności cieniów; ale piekłem potoczném, piekłem codzienności, kędy sztyletów i żmij nie ma, ale są krople zatrutego oleju, sączące jedna po drugiéj do lampy życia, i kolce drobniutkie podobne kaktusowym, których dojrzeć nie potrafisz, a zatem wyjąć nie możesz, a które jednak całą rękę przejmą ci świerzbieniem, bolem i gorączką. W takich ustroniach piekielnych najwięcéj serce zwiędło na ziemi. Szczęśliwy ten, komu pęknie serce wśród burzy, kogo zdruzgocze olbrzymi obryw skały, kogo żelaza przybiją! Ten przynajmniéj wié czemu upadł i czuje godność swoją w upadku godzinie! Otóż to wszystko dzieje się na równinach, na padołach skończoności!.... To wszystko jak gruba zasłona kryje niebo, prawdę, ideały i szczęście. To stanowi pokusę, niedowiarstwo odmętu, zaślepienia, które wiedzie do straty wszelkiéj otuchy i nadziei, do ostatecznego zwąt-

pienia! Pokusy niema straszliwszéj, wszystkie inne są tylko chwilowe! Ta jedna ciągła, poczyna się z piérwszym dniem życia, a kończy się z ostatnim! Kto ją przemógł, kto własnym oczom nie wierzył, kto dotknął się lodu a rozumiał, kto miał ręce pokolone cierniami a o różach nie przestał marzyć, kto widokrąg zasnuty mgłami za fałsz poczytał, za fałsz napomykający o prawdzie błękitów, — ten zbawionym będzie, ten w skończoność nie uwierzył, ten jest synem Boga!

Zapewne jeśli mam być zbawionym, to jedno mnie zbawi kiedyś — żem nigdy nie przestał ufać w piękność, że uczucie piękności na wieki w głębi duszy mojéj żyje! Pod estetyczną formą pojmuję dobro: poezyja, co tylu ludzi gubi na ziemi, mojém zdaniem, jest rękojmią ich życia nieśmiertelnego kiedyś! Ależ, ilu ludziom się dostało dochować uczucia poetycznego do końca? Wszyscy młodzi są poetami prawie, — wszyscy starzy przeczą poezyi! A jednak starość być-by przynajmniéj winna najpoetyczniejszym wiekiem, bo już zbliżona do wieczności; a przeszłość jéj dość przeszła, by powlekła się artystowskim kolorytem wspomnienia.

Tak więc bujam i plotę, i nie uważam że już drugie pół arkusza do końca się zbliża; mój Edwardzie, odpisz mi na ręce Simmy bankiera do Wiednia; choć nie będę w Wiedniu, on będzie wiedział gdzie mnie szukać; a ja sam teraz nie mógłbym przewidzieć, gdzie za miesiąc losy mnie zaniosą.

Jeśli możesz mi jeszcze wyświadczyć ważną przysługę, to ci z głębi serca wdzięcznym będę. Jestem w położeniu dość przykrém; mniéj więcéj wypadłem z łask ojca, który zawsze tak dobrym, czułym, anielsko-dobrym był dla mnie: nie przeczę żem mógł mu za-

krwawić serce niektóremi czynnościami memi; nieodpowiedziałem w niczém jego myślom, a jego myśli względem mnie dobremi i słusznemi były. To pozostanie między mną a Bogiem: wiész zapewne że są pewne uczucia, których sprawiedliwość wykazać nie można rozsądkiem, a które jednak są sprawiedliwemi nie na tym świecie ale w wieczności; — my zaś na tym świecie żyjemy, kto się doń nie stosuje musi karę znosić. Otóż jak ci mówię, teraz on mniéj-więcéj zobojętniał dla mnie. Wiem, że gdybym go poprosił, natychmiast-by mi przysłał pieniędzy, ale wolę ciebie o to prosić, bo między twoim sercem a moim nie czuję żadnéj zapory. Jeśli zatem możesz Edwardzie, przyszlij mi z listem na ręce Simmy 300 lub 400 dukatów. Dług ten mój dawny, który ci odesłałem z Rzymu, znów zaciągam u ciebie, a oddam ci jak tylko będę mógł, zapewnie w przeciągu roku, — jeszcze procent ci zapłacę. Zresztą wiem i pewny jestem, że to uczynisz mi jeśli możesz, tak jakbym dla ciebie uczynił w każdym razie wszystko cobym mógł. Im prędzéj mi przyslesz tym lepiéj mi będzie, bo gonię ostatkiem, a do kraju wrócić nie chcę. Zatem proszę cię przez Stoncnera do Simmy, z przyłączeniem notatki że te pieniądze są dla mnie, i że powinien mi je przesłać tam gdzie jestem. Ja zaś ci zaraz po ich odebraniu rewers przyszlę. Konstanty jest ze mną. Donieś mi co z nią się dzieje? Co się dzieje z wszystkiemi laty młodości mojéj? Dziwnie ona pod koniec postąpiła sobie, ale inaczéj być nie mogło! Ściskam cię serdecznie. Twój *Zygmunt.*

. . . .

I jeszcze coś! Przebiegłem teraz Włochy całe od Wenecyi do Neapolu w ciągu miesiąca. Rozumiałem

wszędzie ich piękność ale jéj nie czułem; dawniéj zupełnie przeciwnie się działo!

Słuchaj Edwardzie! Ile razy ją widziéć będziesz, staraj się jéj mówić dużo o dzieciach. Potém staraj się ją odrywać od wszystkich małości kobiécych! Żadnych komerażów nie słuchaj, lub zimno na nie odpowiadaj — ale melodyjnie mów do niéj... głosem ducha!

Wystawiaj jéj, że cel ostateczny. ... jest spłynąć z Bogiem: że wszelka piękność tem tylko jest nią, że ducha posiada, zawiéra, wyraża! Niech ona, ona co była tak piękną, w objawieniu swojém znikomém, zapragnie być równie piękną w duchu — niech się to jéj dumą stanie, a niech zacznie pogardzać światem, by kiedyś doszła do wyższego daleko uczucia, do litości nad nim!... Niech pamięta, że jeśli moje czyny były gwałtowne, popędliwe, to mój duch jednak, zawsze pragnął objąć ją czystemi skrzydłami i unieść do nieba! Jak człowiek się w niéj kochałem, ale zarazem kochałem ją jak dusza, i nie mogę wspomniéć o niéj, żeby łzy mi ócz nie ćmiły — żeby serce mi nie zaczęło się lękać o nią! Nie ma we mnie żadnéj zazdrości, ale dbam o jéj godność więcéj niż o jéj życie, dlatego właśnie, żem sam piérwszy tę jéj godność nadwerężył. Ja dla jéj godności dzisiaj możebym własną poświęcił, kiedy za jéj życie dałbym tylko moje życie! Edwardzie, to wszystko jéj powiedz, a jak?... to twojemu sercu poruczam.

LIST VI.

FREIBURG IN BRISGAU W. KS. BADEŃSKIE.

D. 5 SEPTEMBRA 1839 R.

Drogi mój Edwardzie!

Są pewne uderzania moralne, którebym rad nazwał elektrycznemi iskrami ducha. Jednę z takich iskier wziąłem w serce wczoraj, gdym z twego listu się dowiedział, że za kilka dni przestąpisz jeden z progów życia, jeden mówię, bo kilka jest *porohów* na tym Dnieprze. Ale ten jeden, choć wieńczony girlandami, choć liściami róż osypan, niemniéj jednak uroczysty, poważny, wielki od innych, które zowią się urodzeniem i śmiercią.

Pierwszą myślą było, nie myślą, raczéj pomimowolnym instynktem ścisnąć mocno ręce i wymówić w duszy imię Boga, otoczone prośbą za ciebie z życzeniem, byś raz wstąpiwszy w jedność szczęścia, ciągle w téj jedności dotrwał, i wziął tyle ile dajesz, i dał tyle ile weźmiesz. Znam tę, która gdy ten list odbierzesz, już imię twoje nosić będzie; znam ją z wieści i z opisu mi uczynionego przez osobę, która ją często widywała i zwykła ją nazywać aniołem skromności i słodyczy. — Jest tu wielka katedra, jedyna ze wszystkich katedr średnich wieków, bo zupełnie dokończona, a wiész że żadna inna nie dostąpiła tego dopełnienia. W téj nad wszelki wyraz pięknéj katedrze, 12 Septembra odbędzie się msza za

szczęście duszy, któréj na imię Edward. Niech *zupełność* tego kościoła będzie symbolem doskonale pomieszanéj i zlanéj nieskończoności uczuć z skończonością ściśle opisanego związku małżeństwa. Na téj mszy będzie się modlił gorąco człowiek, który od dawna już nie klęczał podczas mszy w kościele: będzie prosił Boga o wieczność miłości dla tego którego kocha, i dla téj, którą, ten którego on kocha, ukochał.

Pamiętam Edwardzie, że kiedyś, niepamiętam już kiedy, przesyłałem ci w chwili głębokiego smutku i zwątpienia radę i życzenie, byś ukochał szczerze młodą duszę, i na wieki tę pierwszą którą ukochasz, zjednoczył z życiem twojém. Stało się więc zadość i radzie i życzeniu. Bądź mi więc błogosławiony, i szczęśliwy — i spokojny tym ducha wielkim pokojem, któren już na ziemi jest początkiem wieczności.

Szczęście albowiem niebios, tém zapewne tylko różne od tutejszego, że pojęte w pokoju, a zatem w nieskończonéj trwałości; lecz ta różnica jest różną od mijających uniesień, różną na całą długość i szerz dzielącą ziemię od nieba.

Dwa razy w życiu nie wiedząc o niczem, dziwném losu zrządzeniem, udałem się do ciebie, prosząc, byś mi ważną wyświadczył przysługę: pierwszy raz byłeś wśród najdolegliwszych wrażeń okropnéj skończoności: i wyświadczyłeś mi o com prosił. Drugi raz wśród najżywszych i najmilszych uniesień błogiéj teraźniejszości. I znowu uczyniłeś o com prosił. Zaprawdę, przyjaźń twoja dla mnie przypomina mi owe formuły „Vehmgericht“ o któréjkolwiek godzinie, któregokolwiek czasu przyjdę po ciebie, itd. itd. Dzięków ci już nawet nie złożę. Tyś taki dobry dla mnie, że słów nie dobrałbym: wolę za-

chować na wieki w sercu wszystko co czuję, i miéć to ciągle na pogotowiu dla ciebie, bym i ja także mógł ci podobną, wszędzie i zawsze odpowiedzieć formułą.

Gdy ten list cię dojdzie, dotąd go przeczytasz, potem zamkniesz do stolika, odkładając resztę na późniéj, bo wszelka filozofija mojém zdaniem, w takiéj chwili jest naddatkową i może mdłą rzeczą. Kiedy ci chwila wolnego czasu zostanie, kiedy naprzykład Eleonora ubierać się będzie, a ty cygaro pójdziesz wypalić do siebie, — przypomnisz sobie, że kilka słów Zygmunta drzémie w szufladzie; wtedy dymem kłębu je obudzisz, weźmiesz do ręki i co następuje przeczytasz:

Winisz mnie o ciągłą abstrakcyję: na to ci odpowiedziéć mogę *a priori* i *aposteriori*, teoretycznie i praktycznie, absolutnie i historycznie.

1mo Duch tylko wtedy w abstrakcyi żyje, kiedy nie pełno, ale wyłącznie i kiedy z jego ruchów żadne działanie zewnątrz na drugie duchy nie pada! Lecz kto określi podług jakiego prawa ma odbywać się to działanie? Kto naznaczy formę jedyną na to właśnie, co jest rozwijaniem się wiecznem Rozmaitości? Kto powié jednemu: „Ty tak żyj i działaj“ — a co jednemu powiedział, wszystkim drugim powtarzać będzie? Milion milionów ścieżek snuje się z serca każdego ku sercom drugich; każda o danéj chwili może stać się potężnym życia przewodnikiem i czynu zasadą. Ale są czyny mniéj-więcéj widzialne, dotkliwe, ale dlatego niemniéj pewne i rzeczywiste. Rzeczywistość albowiem nie zależy na miąższości formy, którą ideja przybiéra, ale na doskonałości stosunku zachowanego między tą formą a ideją — na harmonii.

2do Są czasy, są luki, że tak powiem, w tém ogrom-

ném lesie dziejów ludzkich, do których doszedłszy nie sposób iść daléj, trzeba stanąć i uważnie patrzéć na okolicę widną przez te luki: inaczéj nie pojmiesz gdzie jesteś, i jak daléj iść nie będziesz wiedział. Czekać jest czasem ogromném działaniem; bo gdybyś nie czekał, potknąłbyś się na pierwszém lepszém mrowisku i miljon mrówek ciebie obalonego oblazłoby i zginąłbyś może od mrówek. Patrząc na człowieka co stoi i wzrok ma wbity niby-to w próżnią przestrzeni, łatwo sąd o nim wydać, łatwo go potępić, łatwo go nazwać *nicością*; że świętszém by było, gdyby jeden kartofel zasadził, lub jedną jabłoń cywilizowaną na dzikiéj zaszczepił jabłoni. Nieraz sąd taki słuszny, zasłużony, jednak czasem zdarza się że i nie, bo wszystko zdarza się na tym zdarzeń świecie. Anioł stróż jeden wié tylko co podczas tego zadumania w wnętrzu piersi ludzkich się dzieje i przetwarza. Ile tam rośnie ziół ukrytych, ile tam przelatuje stąd myśli, ile tam może warownych wznosi się szańców? Dusza kiedy rośnie nie może się roztapiać wszerz na zewnątrz: najprzód trzeba by się stała, by wyrosła! Dajże téj biednéj wygnance, daj jéj czasu trochę: nie gnaj ją w pole, nie zaprzęgaj jéj do pługa, nie chciéj by skrzydłem ujęła lemiesz lub gwoździe brony i skrzydłem orała: na to są ręce; ale trzeba by twarde, grubę ręce z pod skrzydeł wyrosły, wypadły z pod skrzydeł; — matką ramienia jest skrzydło, — ramię później jak syn podpiéra matkę swoją, ale to później, później dopiéro. Czas właśnie tém jest, co stawia jedne fakta po drugich: w idei tylko wszystkie zlane są razem, i nie w idei nawet, raczéj w pomyśle idei (in dem Begriff).

Spotkamy się kiedyś Edwardzie, wtedy ci wytłuma-

czę wiele szczegółów indywidualnych, którym papier za lekkomyślnym jest przesłannikiem: Opiszę ci naprzykład życie samotne, ale dziwnie szczęśliwe, do cudu podobne, które teraz wiodę. Jest w niém coś tak wolnego od zwykłéj, codziennéj skończoności, a zarazem tak ściśle połączonego z wszelką rzeczywistością, że muszę ten fenomen nazwać boskim! Wiem, że na ziemię Bogi tylko pod pewnemi warunkami zstępują, pod warunkami nieraz strasznemi, na całą przyszłość zahaczającemi duszę, w których ich postać na chwilę się objawiła: alem już tak stworzony, żem zawsze gotów na najgorszy raz, bo zawsze czuję w głębi serca nieskończone pragnienie najlepszego. Kto nic nie stawia, nic nie wygra, a można wszystko przegrać. Lecz powiédz mi, czy życie samo już nie jest wielkiém przegraniem? Ile razy na łono Boga wrócić możesz, choćby chwilowo, o! wracaj!... a niedbaj, że potem ciemność cię otoczy, bo ona siostrą twoją na ziemi. Światło zaś zdobyczą sępa tego, co wiecznie w twoich piersiach żyje i serce twoje bijące ma za skrzydło, które wyrywa się do niebios!

Teraz pozwól, bym kilka uwag dodał o dzisiejszym stanie filozofii w Niemczech.

Smutne to, arcy smutne rzeczy położenie! Ledwo ta potężna głowa, która stawiała sama siebie wśród głowy Chrystusa i Platona opadła bez czucia; ledwo mózg Hegla stał się pastwą robaków, ucznie jego zatracili prawdę, którą im wykładał, lub tę prawdę dziwnie zagmatwali. Z jedności szkoły jego powstała rozmaitość, hetorodoksyje, schizmy, kłótnie, swary bez końca. Teraz Niemcy brzmią całą Hegelingów waśnią: jedni drugim zarzucają najszkaradniéjsze teoryje; jedni drugich powołują przed trybunał opinii publicznéj, rozdzierając za-

słonę (jak twierdzą), która dotąd kryła posąg ten Izydy. Zasłoną zaś takową w przybytku filozofii, bywają frazesa i niedostępna terminologija, pod którą albo przepaść, albo zbawienie, zarówno ukrywać się mogą. Otóż Dr. Leo z Halli wystąpił z oskarżeniem na Hegelingów, sam także Hegelista ale średni, umiarkowany i zarazem chrześciański człowiek; w tém oskarżeniu zarzuca im poprostu:

1mo Że, ot, cały systemat jest poprostu ateizmem, zaprzeczeniem Boga indywidualnego (Persönlichkeit Gottes) i nieśmiertelności duszy.

2do Usiłowaniem do obalenia chrześciaństwa zupełnie i ostatecznie, przez przemianę wszystkich jego dogmatów na pewien rodzaj mitologii; — tak jak to sławny Strauss ogromem pracy i nawałą nauki starał się wykazać w życiu Jezusa. To ostatnie dzieło ogromnie od trzech lat porusza Niemcy. Teologija, jak może, walczy przeciwko niemu, ale słabą jest; wróg jéj zwyciężać się zdaje na polu polemiki. Hegel jeśli już przewidywał taki ostateczny skutek, nigdy się jednak z nim nie oświadczał jawnie, albo przynajmniéj obwijał go tak misternym zmierzchem, że jeszcze w tém zmierzchu można było klęknąć przed ledwo widzialnym lecz bielejącym dotąd posągiem Chrystusa. Strauss całkiem ten zmierzch usunął, odemknął drzwi, rozbił szyby, wpuścił strugi światła; a gdy ono zalało świątynię, ujrzeli klęczący, że na ołtarzu nic a nic niema, prócz wielkiego historycznego wspomnienia, prócz mary jakiéjś osłabłéj i mglistéj, szemrzącéj cichym głosem: „niegdyś Bogiem mnie zwano!“ I tu nasuwa mi się dość prawdziwa uwaga, t. j. że owa filozofija niemiecka taka ogromna, taka pełna wzniosłéj pogardy ku filozofii nędznéj Francuzów

XVIII wieku, po 70 latach pracy tytańskiéj, doszła nareszcie, zupełnie inną drogą, bo drogą idealizmu, do tego samego rezultatu co materyalizm francuski!

Wartoż było tyle pracować i pysznić się? tyle pisać a tak mało wcielać się? Co od 60 lat stało się we Francyi i przeszło w czyn i jako czyn już się rozsypało i starło w proch, to samo dzisiaj dopiéro zaczyna się krystalizować z téj strony Renu. Niewiara zaczyna być tak silną, że z negacyi przechodzi w affirmacyą i znak swój — (minus) stawia na miejscu + (plus), uważaj, że na miejscu krzyża Chrystusowego!

Możesz to nazwać kalamburem filozoficznym, ale są dziwne czasem nawet w najdrobniéjszych znaczkach i formach znaczenia i symbole! Analiza rozrabiająca i niszcząca góruje dziś w Niemczech, Literatura francuzka ogromnie się przedziera przez rzekę: tłumaczą na łeb na szyję wszystkich jéj klasyków i nieklasyków; zdobią ich edycyje takiemi samemi winetami i obrazeczkami na środku i po bokach kart. Zgoła lasy Hercyńskie czują ogromną ciekawość do Bulwarów; a Francyja także zakochała się w wyrazach panteizm, plastyczność, Subjectivität, Objectivität, Idee, Begriff, Selbstbewusstsein, itd., itd..... i nic śmieszniéjszego od młodych Francuzików, jeżdżących deliżansami, potrząsających włosami długiemi na łokieć i wymawiających te tajemnicze słowa (osobliwie dla nich tajemnicze, bo ich nic a nic nie rozumieją) jakby magiczne jakie zaklęcia, mające wszystko ułatwić, pogodzić lub zniszczyć! Lecz mojém zdaniem, owi Commis voyageurs wygrali, bo wcześniéj czy późniéj, przez wpływ téj filozofii idealnéj, wyidealizują się. A Niemcy przegrali, bo przez wpływ literatury francuzkiéj wpadną w coraz głębszy sceptycyzm. Kto wié, czy

zresztą tego nie potrzeba? Kto wié, czy Niemcy na téj drodze nie znajdą ciała sobie, a Francuzi duszy? Niech przyszłość odpowié; ja jako widz i słuchacz, dodam jeszcze to: panteizm czy jawny, czy ukryty, czy surowy jak u Spinozy, czy przerobiony, lamowany złotem jak u Schellinga i Hegla, jest tem właśnie co oznacza, że duch wyłączny epoki zaczętéj przez reformę Lutra a we wszystkiém przeciwny feudalności czyli potędze indywiduum, coraz bardziéj potrzebuje wszystko na wzór siebie ułożyć i świat, — wszechświat pojąć na wzór siebie samego! Cała starożytność i wieki średnie, myślę, że to czas indywidualności człowieka; nie ludzkości, czyli téj cząstki ducha człowieka, która siebie za jedność odgraniczoną, pewną, silną, pojedyńczą, jeśli chcesz egoistyczną pojmuje. Zatem wszędzie masz w niebie Bogów pojedyńczych lub Boga osobistego; wszędzie patrycyat lub jedynowładztwo, nie słychać o masach, ale są bohatery. Historyja się pisze imionami wielkich ludzi, posągi ich każden na osobnéj podstawie stoją widne, — stoją w przestrzeniach, jak słupy téj drogi bez końca. Teraz ozwała się inna cząstka ducha, ta, która siebie przyjmuje jako związaną z drugiemi, jako należącą do drugich, jako nie *ja* ale *wszystko*. Zaraz więc i Boga osobistego ona rozpuściła w oceanie ogromnym; zaraz patrycyat i kształt z góry władnący rozwiodła w tłumach, zaraz indywidualności duszy zaprzeczyła, i jednéj tylko ludzkości nieśmiertelność przyznała; słowem, na swój obraz wszechświat urządziła: wszystko pojęła jako zlewek wielu, a nie jako dzieło jednego! I tak ślepy Homer został trzystu lub niewiem wielu rapsodami; Rzymu historyja poematem przez massy wymarzonym; Chrystus figurą, do któréj utworzenia przyłożyły się ludy

i wieki. Przypomina mi to nowożytne stowarzyszenia: jak drogi żelazne, jak gmachy w Londynie z tysiąców sakiewek połączonych razem: tak Chrystus naprzykład z tysiąców marzeń stowarzyszonych koniecznością epoki powstał i stoi? Czy to w oczy nie bije Edwardzie? Czy ta wyłączność nie dowodzi, żeśmy zawsze i ciągle na drodze błędu?... Ale jak linija krzywa, linija życia składa się w matematyce z nieskończonéj ilości linij abstrakcyjnych, martwych, linij prostych; tak samo zapewne *prawda* składa się z nieskończonéj ilości *błędów!* I zagadką ludzkości jest upić się każdym błędem, postawić go na nogi, uczcić go jako Boga i wreszcie go obalić, uznając, że tylko w tym bałwanie był jeden promień Boga, a ten promień jeden ocalić, unieść z sobą i wpleść do następnéj tęczy, aż jak Jean Paul mówi, cały widnokrąg stanie się jednym, rozwitym, jednego kwiatu kielichem!

Otóż dlatego ja wierzę głęboko, ale nie w Hegla: Bóg jest Jehową, Bóg jest Chrystusem, Bóg jest panteizmem; ale prócz tego, Bóg jest jeszcze czém jest, — sobą samym! Człowiek jest patrycyuszem, człowiek jest plebejanym, człowiek jest ludzkością; ale prócz tego jest czém jest, — sobą samym! I dusza jego nieśmiertelną, osobistą, i zarazem duch jest jego powszechny! Pogodzenie sprzeczności w Bogu i w człowieku, jest to ten cud właśnie, który stanowi zarazem i życie i zagadkę życia!... Wiara, to silne przeczucie, że te sprzeczności są jednością nierozerwaną, *żyjącą razem i harmonijnie!* Ziemia, to stan niepewności, to pokusa, starająca się zawsze postawić nam przed oczy tę *Jedność* jako *nonsens*, i każdą cząstkę jéj osobną, za całość przed nami udać.

Śnią się nam w czasie części nas samych! Każdą witamy słowem miłości: „ty jedyna!“ Otóż, gdyby zamiast ducha, który się duchowi śni, śniło mu się jego własne, rozerwane ciało: gdyby najprzód ujrzał nogę jedną stąpającą w przestrzeni i rzekł: „ty jedyna, ty się zowiesz człowiek“; potém rękę jedną błądzącą, i zawołał: „daruj ręko żem nogę tak nazwał, noga była marą i kłamstwem!“ Ty jesteś kształtem człowieka jedynym! A wreszcie, gdyby wnętrzności się roztoczyły w powietrzu i czołgały się ku niemu: „O, wy wnętrzności, wy tylko jedne itd. itd.“ Risum non teneatis amici... Lecz gdyby po przejściu wszystkich cząstek, cząsteczek, cząsteczeczek ciała i po następnych ich apoteozach; — po ubóstwieniu raz jednéj żyłki, to znów nerwu, to znów kości lub ścięgna jednego; nareszcie pojął, że te wszystkie części razem składają człowiecze ciało, ale nie pod formą osobistości rzeczywistéj, opisanéj, żyjącéj w czasie i przestrzeni, ale tylko jak ideja; znów by tę ideję ubóstwił, znów by się ciężko pomylił; ażby nareszcie się przebudził i ujrzał siebie samego, i pojął, że zarazem jest tém wszystkiém co marzył, i jeszcze do tego czemsić więcéj: to jest doskonałą zgodą tego wszystkiego, pojednaniem przeciwnych członków i kierunków, zgoła istotą, życiem, formą i duchem! Wtedy pewnoby sobie sny swoje przeszłe za czas próby poczytał, za wiek dzieciństwa!

Bóg jeden wié kiedy się przebudzim, a kiedy się przebudzim, będziem na Jego łonie.

Niech cię Bóg naszych ojców, Bóg potrójny i jeden błogosławi. Twój *Zygmunt.*

---

niebo lazurowe, wysmukłe cyprysy, wszędzie bluszcze po skałach, oliwne drzewa, kwiaty i to światło południowe tak jasne, tak przejrzyste, wszędzie ten puch błękitnawy, ta para muślinowa, co zwykła owijać góry i wody włoskie.

Ale to objawienie trwało dzień tylko: wiosna, lato, szczęście, młodość, ciepło, piękność, dzień jeden trwa tylko! U bram Medyolanu znów mgła mnie otoczyła i śnieg pruszyć zaczął. Ale tego dnia jednego, tak wyrwanego z łona zimy, tak dziwnie rzuconego między śniégami Splugen a mgłą Lombardyi nigdy nie zapomnę! Gdyby dłużéj był potrwał, zapewniebym o nim zapomniał: ale że tak krótki, znikomy a piękny, za to w myśli mojéj wiecznym będzie! Zważ, że to takie dziwne prawo myśli ludzkiéj!

Na wstępie do Włoch zaraz mnie opadły powieści o rozbójnikach, owe legendy ludu włoskiego, zaczynające się tam, gdzie niemieckiego plemienia kończą się mity o strachach: bo w całych Włoszech jednéj powieści o strachach nie znaleźć. Mojém zdaniem, cechuje ta różnica doskonale obu narodów umysłowe kierunki. Rozbójnik albowiem ma się do stracha, jak rozsądek do wyobraźni ideału, jak rzeczywistość do abstrakcyi filozoficznéj, jak forma pogańska opisana i ograniczona do chrześciańskiéj, zawierającéj nieskończoność w sobie. Bo trzeba włoskiéj wyobraźni, by stał przed nią niezawodny rozbójnik, z pistoletami, ze sztyletem, z imieniem chrzestném i familijném, na tém a tém miejscu, w tém lasku, pod tą skałą. Kiedy tymczasem Niemiec roskoszuje w mglistéj postaci, co tam słyszana a nie widziana, to znów na pół widziana — przeciąga z wiatrem, wschodzi przy gwiazdach, spływa z promieńmi księżyca, niknie co

chwila, raczéj znika wiecznie niż rodzi się kiedy, — i nosi w piersiach żale jakieś nieskończone, wszystkich grobów skargi, wszystkich światów za grobem istniejących nadzieje, domysły, marzenia i tęsknoty!

W Niemczech chrześciańska myśl zlała się z samą iściną ducha ludzi. We Włoszech tylko zewnętrznie znaki Chrystusa zatknęły się tylko po wieżach i dzwonnicach; serce ludzi jeszcze się nie odpoganiło. Rozmiary ich umysłu są pogańskie, bo piękność ich natury pogańską jest. Trudniéj duchowi zrzucić jarzmo pięknéj natury niż brzydkiéj, szaréj, dzikiéj. Ułudom włoskich błękitów jakże się odjąć? Myśl rada zostać z téj strony ich, by wiecznie się im przyglądać; a tam gdzie mgły i ciężkie chmury, wnet myśl w podróż się wybiera i przelatuje kortynę złudzeń, by lecieć w nieskończoność.

To wszystko mi przypomina, żem kupił dla ciebie Straussa, ale nie wiem jak ci go przesłać. Księgarze, którym o tém wspominałem, mówili mi, że nie wiedzą jakby tam mógł przewędrować. Zresztą, choćbyś go i nie przeczytał, zdaje mi się, że nie wiele stracisz: nic to nowego! Zbiór to tylko olbrzymi wszystkich prac ludzkich, skierowanych przeciwko Chrystusa. Strauss, to wielki kompilator; wiész, że zwykle publiczność się dziwi, kiedy ujrzy rozsypane szczątki, o których jednak wiedziała, razem zebrane i spojone! Wtedy zdaje się jéj, że się coś nowego urodziło. Jakże się masz? Masz się pewnie szczęśliwie i błogo! Bóg ci błogosław i téj która serce twoje i imię wzięła. Pisz mi do Rzymu. Jeszcze raz przyjm moje dzięki, i kochaj mnie tak, jak przezemnie kochany jesteś. Twój *Zygmunt.*

LIST IX.

Roma, d. 21 Lutego 1840 r.

Drogi mój Edwardzie!

Pokój tobie i domowi twemu, Pokój Boga niechaj będzie z wami. Temi słowy list zaczynam, ja daleki od pokoju ducha, ale wiedzący, że sprzeczności, gdy dojdą do najwyższego stopnia zobopólnego rozwinięcia spływają w siebie; wiedzący, że najnamiętniejsze stanowisko ducha jest bratem najspokojniejszéj ciszy, byleby namiętność nie była podła, a cisza mierności spokojem!

Stakelberg, tutejszéj ambasady sekretarz, mówił mi wczoraj, że przed ośmiu dniami posłał dyspensę dla twego kuzyna. List twój odebrałem w Neapolu; zaraz nie odpisałem, bom czuł się w rozerwanym stanie ducha. Teraz tu w Romie, gdzie spokój ruin codzień większy, wszelkie rozdarcia i walki serca łagodzi, uśmierza, piszę do ciebie i zacznę od przypomnienia ci, że przed ośmiu miesiącami, twierdziłem ci przeczuciem że już stanowisko Hegla przeskoczoném jest. Teraz mogę ci tego dowieść rozumowaniem; a ten co Hegla daléj rozwinął, poprawił w filozofii historyi, a w absolutnéj odmienił: jest to ziomek nasz, August Cieszkowski, z którym tu właśnie teraz jestem, a który na wiosnę w Berlinie wydrukował: Prologomena zur Historiosophie, księgę

nie większą od broszury, a zawierającą myśli takie, że duch nasz kornie się im ukłonić powinien.

Będę się starał w krótkich słowach ci tę książeczkę opowiedzieć: wiele narobiła hałasu w Niemczech. Pamiętasz, że Hegel w historyi filozofii, wbrew wszystkim swoim własnym logicznym wywodom, nie na trychomiję ale na tetrachomiję historyję podzielił, a doszedłszy do teraźniejszości skończył, jakby historyja z nim już dopełniła się była, jakby przyszłości jnż nie było dla rodu ludzkiego; jak gdyby *myśl myśli* była najwyższym stanowiskiem ludzkości i wyższego pogodzenia sprzeczności od pogodzenia ich w *myśli* na świecie nigdy być nie miało. Teraz występuje August i tak mówi: Logika Hegla jest prawdą absolutną, wszędzie zatém przystosowalną w historyi jak w naturze. Historyja trzy podziały i trzy tylko dostanie: 1) Przeszłość starożytna. 2) Epoka chrześciańska. 3) Przyszłość. — W filozofii Hegla schwycił się sam duch ludzki na uczynku; sumienie filozoficzne zeszło się z sumieniem ludzkości! To jest najwyższy, klasyczny punkt filozofii, jak niegdyś sztuka grecka była klasycznym najwyższym punktem sztuki, i jak od tego punktu sztuka przez romantyczny kierunek podniosła się wyżéj, lecz zaczęła jednak przechodzić w filozofiją; tak teraz filozofija także się podniesie wyżéj, ale już nie jako filozofija, i zacznie przechodzić w pole *woli*, *działania*, *czynu absolutnego*. Starożytność była *epoką czucia*, najwyższe jéj stanowisko sztuka! Sztuka jest to *byt tożsamości bytu z myślą*. Chrześcijaństwo było epoką myśli, najwyższe jéj stanowisko filozofija. Filozofija cóż to jest? *Myśl tożsamości myśli i bytu!* Sztuka jest już *całością* i filozofija jest *całością:* jednak obie jeszcze pewnym abstrakcyjnym kierunkiem,

formą raczéj obciążone; bo w definicyi pierwszéj masz *byt* dwa razy; w definicyi drugiéj, myśl tyleż powtórzoną. Obie garną się ku wyższéj Syntezie ku Tożsamości, z zlewka ich samych wypadającéj. Jakaż to jest? Jak się zowié ostateczne pogodzenie sprzeczności, ostateczne pojednanie myśli z bytem: oto *czyn*, oto *wola! Czucie*, *myśl*, *wola*, oto trzy władze ducha, z których trzecia dwie piérwsze zamyka, zawiéra pod kształtem jedności. Oto cecha trzeciéj epoki: epoka woli być musi, woli absolutnéj. W Heglu wszystko się kończy na *Denken des Denkens*. Z téj wysokości gazów nie umié on już zstąpić nazad i realność granitową na nogi postawić. U niego tak ciągnie się wszechrzecz: *Λογοσ* $\overset{\text{duch}}{\triangle}$ natura, a doszedłszy do ducha, znów tak: sztuka $\overset{\text{czyn}}{\triangle}$ filozofija. Cieszkowski tak to uważa: sztuka $\overset{\text{filozofija}}{\triangle}$ religija czyli *czucie*, *myśl*, *wola*. W epoce woli wszystkie premissy dwóch pierwszych zlane, pogodzone, dopełnione zostaną; tylko że zawsze akcent tu na *woli* postawionym będzie. Wola w uczuciu będzie to *miłość absolutna*; wola w *myśli*, czyli myśl stająca się czynem, działalnością, *potęgą*, będzie to mądrość absolutna. Wola w woli, czyn wiecznie stający się, czyn czynu, będzie to *wszechpotęga życia*, a zatem te same predykaty ludzkości i ducha absolutnego: *Miłość*, *Mądrość*, *Potęga!*

Jeszcze inaczéj on to wyraża: Starożytność była *Tezą*, chrześcijańska epoka *Antytezą*, — przyszłość Syntezą. Wiész z logiki, że moment drugi, że Antyteza nietylko objawia się w sprzeczności z *tezą*, ale jeszcze w sobie saméj zawiéra rozerwanie konieczne sprzeczność i walkę. I tak w starożytności, w *tezie* w pączku nie

rozwitym na polu całości w czuciu, na błoniach sztuki, nie było dwojności, nie było ziemi i nieba, przedgrobu i pogrobu: była tylko jedna ziemia zielona! Chrześciaństwo nie tylko że stawia się w sprzeczności do świata pogańskiego, ale w własnéj treści swojéj rozdziera się na dwoje, jak ów welon świątyni o godzinie skonu Chrystusa: Ziemia i niebo, padół łez przed grobem, błękit wiekuisty po grobie! Materyja i myśl: pierwsza potępiona, — druga wywyższona, zwycięzka. Ztąd Romantyzm w sztuce, — ztąd *Brzydota* wprowadzona jako moment sztuki, jako materyi znamie!

Teraz gdy Synteza się zbliża, czémże ona się objawi? Oto pewnym powrotem z Antytezy do Tezy; lecz nie takim by Antyteza z wyżyn zdobytych, znów miała zstąpić na doliny Tezy; ale takim, by Teza wyszlachetniła się i podniosła, i przylgnęła do Antytezy; zatém potępioną już nie była, ale zbawioną i piękną! *Byt* musi zrównać *myśli*; teza — antytezie! Materyja musi ciężącego nad sobą pozbyć się przekleństwa przez podniesienie się, przez stanie się *adognat* myśli. Natura cała musi przejść przez drugą kreacyją! Industryjalny popęd nowego wieku, sam o tém nie wié że jest tego zwiastunem, i tego tylko, niczego innego!

Dotąd, podług Augusta, były tylko w dziejach Thatsacten, teraz będą prawdziwe *Thaten.* On je nazywa *Nachtheoritische Thaten*, by je rozróżnić od przeszłych czynów, które zawsze działy się na ślepo, a z których dopiéro po ich objawieniu wysysano teoryją!

W trzeciéj syntetycznéj epoce, w epoce woli inaczéj dziać się musi. Teoryja poprzedzi Czyn i Czyn będzie Adognat teoryi. Byt wszędzie równy Myśli: tak się dzieje w Bogu, bo musimy przyznać, że *logika* poprzedziła *na-*

turę, chociażeśmy dopiéro Logikę z natury wydobyli. Dotąd myśl z bytu się nam snuła, kiedyś byt z myśli snuć się będzie, i wola Boga będzie wolą naszą, lub nasza raczéj Boską.

W Epoce *Czucia* były wyrocznie, i proroki widzieli przyszłość: w epoce *chrześciańsława* byli głębocy myśliciele i przemyśliwali przyszłość.

W *Epoce trzeciéj* będą wielcy ludzie, czynić będą przyszłość! Zatem najwyższa absolutna wola, czyn, realność, jest ostatecznêm przeznaczeniem ludzkości. A myśl myśli i pogodzenie sprzeczności Bytu i Myśli w saméj myśli tylko, abstrakcyją; choć ją Hegel chciał udać za całość!

LIST X.

Karlsbad, d. 4 Augusta 1840 r.

Drogi mój, drogi Edwardzie!

W Styczniu czy w Lutym pisałem do ciebie list ogromny, wyłuszczający ci ogólnie systemat Historyjozofii Augusta Cieszkowskiego, który wydaniem wstępu do historyjozofii ogromnie berlińskie mędrcy zbudował, i całkiem Heglowi dowiódł, iż sam nie umiał swéj własnéj Logiki do historyi zastosować.

Nie wiem czy ten list mój doszedł ciebie: jeśli doszedł toś mi zapłacił za niego milczeniem; bylebyś nie

zapomniał duchem o mnie, przystaję na twoje milczenie, bo z niego ciągnę dowód żeś szczęśliwy. Gdybyś był smutny, gdyby ciężar niewidomy gniótł ci serce, ozwałbyś się przecie wtedy do przyjaciela. Teraz z Włoch tu przyjechałem widzieć ojca, i za dni kilka do Włoch wracam.

Rozpiłem się Edwardzie południa błękitami; błyszczą tam gwiazdy, których nigdzie indziéj nie zobaczysz. Księżyc tam jak dziewica niebios; słońce jak archanioł potęgi; Rzym jak archanioł zwalony, leżący na ziemi; Śródziemne wody Neapolu jak toń wieczności, ale szczęśliwéj, ale wielkiéj! Sycylija jak królestwo marzeń wcielone w kształt równy pomysłowi tych marzeń; a pod tém wszystkiém Dantejskie piekło buchające czasami kraterem Wezuwiusza, Etny, Stromboli! A nad tém wszystkiém przesłona dzika i pełna żałoby, — czyściec Dantejski unoszący się w powietrzu między grobami, na których kwiaty rosną i migają lucjole, a niebem, gdzie drugie lucjole świécą! — Lucjola pana nad pany muszki wszechświata, święto-jańskie robaczki przestrzeni; a tam gdzie one na mlecznych drogach oparte, Raj się poczyna; Raj niedojrzany, w którym Beatrix niewidzialna mieszka! A cień, odbłysk jéj, mara jéj, czasem przesunie się na dole, czasem odbije się w magicznėm zwierciadle niebios, w tém zwierciadle zwaném włoską ziemią!

Tak więc, z tych słów byś sądził, o Edwardzie, że mi serce jak grób Rafaelowski Maryi porosło w kwiaty, że duch mój cały przetkał się gwiazdami! Nie, Edwardzie, bo posępne lice świata — ogółu smutek, moje indywidualne uniesienia gasi, zabija i niszczy; i sam zresztą zawszem taki sam jakim mnie znałeś. Błąkam się,

i błądzę, i szukam, i czasem gdy piosnkę zaśpiewam to taką:

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem
Zawsze i wszędzie!

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia popsułem,
Bo własną dolę sam także zatrułem
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie:
Że Bóg jest dobry, że mnie schował w grobie,
Bo tobie byłem nieznośny i sobie,
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie:
Żem żył na ziemi dzikim ducha szałem,
Bo z serca ciebie, choć gorzko kochałem
Zawsze i wszędzie!

Możesz tym słowom co się pod niebem włoskiém urodziły, kazać dorobić muzykę jaką ukraińską,—muzykę brzmiącą jak ten wiersz Malczewskiego:

I smutno, pusto, tęskno w dzikiéj Ukrainie!

I zawołaj kozaka, i każ mu grać na teorbanie i śpiewać tę piosnkę moją, i wspomnij wtedy o sercu które znasz, które znałeś dawniéj: bo jego prawda jest w tych słowach.

Tak, drogi mój! noszę głęboką nędzę wszędzie w sobie, jak król, choć w pewnych chwilach potrafię się ubrać w purpurę wieczorów, w księżyce nocy w błękity i muśliny pian, mórz włoskich; — coś mi pod temi szaty serce wyjada!

Darmo głaskam owe żmije rodzinne; darmo się ich proszę by mi krwi mojéj nie piły: one mléka nie chcą, one krwi mojéj wiecznie żądają! I tak daléj idę, cisnąc pod szatą poezyi owe gniazdo robaków, i gdybym je wyrwał toby i serce poszło za niemi. Epaminondas pod Mantyneą skonał gdy wyrwał z piersi włócznię co mu pierś przeszyła!

A nieraz wśród dolegliwych bolów życia, wśród wiatru i gradu moralnego, co chłosta mi ducha, zjawia się przedemną widzenie ciebie, szczęśliwe, błogosławione! Widzę dom piękny na stepach, widzę dwojga duchów spokojnych, nie martwością osłupienia, ale pokojem wzniosłym serca i duszy w jednym domu, w tym domu żyjących. Widzę ciebie i żonę twoją, i wtedy błogosławię wam zdaleka i proszę za wami chmur świata, by nigdy z żadnéj widnokręgu strony nie przeciągały nad dachem waszym. Edwardzie, odpowiedz mi choć słów kilka, powiedz, że dobrze czynię gdy modlę się o nieskończone przedłużenie szczęścia twego! Powiedz żeś szczęśliwy, a gdy to przeczytam, miło mi będzie, miło, błogo, roskosznie, tęskno do ciebie, do domu twego, do stepów waszych.

Teraz jeśli chcesz co o stanie filozofii wiedzieć, powiem ci, że Dr. Leo z Halli, doniósł na Hegelistów zupełnie takie samo zaskarżenie, jakie przed wiekami zaniesiono przed areopagiem na Sokratesa, o obalenie religii, o przeczenie bogów nieśmiertelnych, itd. itd. Przeczytaj na Sokratesa skargę, słowo w słowo to samo. — Otóż po wyjściu téj skargi, tego doniesienia, z kilku katedr zaczęto rugować Hegelistów, wydawaną przez nich gazetę w Berlinie impedymentami różnemi trudzić i obarczać. Michelet, ich głowa, wziął się zatem tego roku

do kursu „*o nieśmiertelności duszy i osobistości Boga.*“ Ciekawy to będzie kurs, jeśli go wydrukuje. Widziałem jednego z słuchaczy, ale nie wiele mi powiedział o tém, podobno sam nie zrozumiał nic. Mojém zdaniem, tych dwóch punktów szkoła Heglowska nigdy nie rozwinie, nie dowiedzie, nie postawi marmurowo na nogi. Jak powiada słusznie Cieszkowski o niéj, Logika tylko pozostanie wieczną jéj prawdą, a Logika to tułub! Tułub już jest, ale gdzie głowa i nogi?... Otóż w rzeczy saméj *głowy* nie ma w Heglizmie! Hegel mógł stanąć, bo był śmiertelnym, mógł się rozradować w pysze logiki, mógł kończąc Encyklopedyją w rozdziale o *absoluten Geist*, udawać, hypokryzować, dyskurować o anekdotach indyjskich, by nigdy nie dojść do głównéj kwestyi:—by spokojnie umrzéć nie rozstrzygnąwszy tego co mu nie daném było rozstrzygnąć, t. j. nieśmiertelności i Boga! Bóg tylko jak Allgemeintheit pojęty, Bóg Heglowski, Bóg li tylko panteistyczny jest taką wyłącznością, takim tylko jednym terminém jak Bóg li tylko osobisty, li pojedynczy, odłączony od wszechświata. — Idzie teraz o zlanie tych dwóch bóstw w trzecie równie osobiste jak panteistyczne, równie wszystko obejmujące jak siebie samego. W Trójcy naszéj najdoskonalszym punktem jest Duch Święty. Czekaj na niego w filozofii, nie nadszedł jeszcze: nie Hegelisty go odkryją, ale przyjdzie i świat padnie przed nim, z saméj Logiki to wypada. — Lecz teraz ci jeszcze i to powiem, że przyjdzie czas, w którym duch ludzki zapragnie logiki! Logiki, — bo każda logika uznana staje się skutkiem, faktem, fenomenem; póty tylko jest przyczyną przyczyn, póki nie odkryta, póki na jaśnią nie wyrwana!

Ja to czuję, że świat ten jeszcze nie doszedł do

uzupełnienia się swego, ni myśl mu wystarcza dotąd, ani też wiara i przeczucie; ale stan jego jest stanem—gdzie przepaść przed myślą, przed rozumowaniem stoi czarna i głęboka; tam skacz jak Kurcjusz, z wiarą, z natchnieniem, z lutnią o złotych strunach! Tam bądź poetą, prorokiem, tam przeczuwaj, tam miéj widzenie;—kiedy lutnia śpi i nie sposób jéj obudzić, gdy serce nie bije, gdy oko ducha nie zdoła przewidziéć,—wtedy bierz myśl i dochódź; mierz, snuj, pającz się, a czy tak, czy owak, ciągle, wiecznie idź daléj! Lecz nigdy nie mów „*myśl* tylko“ i nigdy nie mów *serce* tylko; lecz owszem i *myśl* i *serce*; a piérwszą kuj w wszechświat jak kroplą w granit; drugiém kochaj, i w téj chwale miłości patrz na wszechświat, zgaduj jaka ostateczna będzie forma jego! — Poezja niczém innném jak ciągłém téj ostatecznéj formy widzeniem, apokalipsą odbywającą się w duszy ludzi od ośmiu tysięcy lat; znakiem niezawodnym, że jest związek, że jest wspólność między nami—a tém co będzie na końcu! Nazwiesz li to rajem czy nową Jerozolimą, czy wniebowstąpieniem, czy niebios zstąpieniem, czy pójściem planety w drogi mleczne, czy przerobieniem jéj na wstęgę mleczną: — to wszystko to anegdota przyszłości, to sposób, którym się to odbędzie! Ideja zaś tego, pomysł tego, to to, że *to* się odbędzie; a przeczucie formy tego to poezyja! Powiedz, czyś równego ze mną zdania?

A teraz, mój drogi Edwardzie, zostawię ciebie twoim cichym penatom, zielonym twoim larom domowym. Jeśli ci one kiedy szepną do ucha, żem winien tobie tysiąc rubli sr., to proś ich odemnie by czekały, aż będę mógł je oddać.

Wszak zaniesiesz tę prośbę moją przed Lary i Pe-

naty twoje, wszak Bogi domowe nieraz gniewają się na mnie za to? O wdzięczności mów im także mojéj; bo kiedy tobie o niéj wspominam, ty słuchać nie chcesz; zatém im mówić i wiecznie powtarzać będę, żem ci do zgonu i całém sercem wdzięczny za twoją dobroć i przyjaźń. Twój *Zygmunt.*

Adres mój: Torlonia, lub poprostu Rome poste-restante.

LIST XI.

KARLSBAD, D. 10 AUGUSTA 1840 R.

Drogi Edwardzie!

Z Romy pisałem ci kilka razy, nie odpisałeś mi. Zawczoraj list drugi ci na ręce Hausnera posłałem; ale chcąc, abyś wrazie nieoddania upomniał się u niego, te słów kilka przesyłam ci przez Tadeusza Walewskiego. I z Romy i ztąd pisałem ci *de Filosofia et quibusdam aliis* jak np. *de gratitudine.* Pierwszą może diabli wezmą kiedyś, drugiéj nic z serca mi nie wygluzuje.

Jeśli milczysz dla tego, żeś szczęśliwy, dzięki Bogu za twoje milczenie! Gdyby przypadkiem przez *Lebens-Ironię* ze wszystkich moich listów ten tylko ci się dostał w ręce, to miasto tamtych staraj się dostać *Einleitung zur Historiosophie* przez Augusta Cieszkowskiego, wydane przeszłego roku w Berlinie i słynące szeroko.

Punkt wybujały wyżéj nad Hegla, proroctwa moje spełnione! Przeczytaj a uznasz. Do mnie jak zwykle Torlonia, lub poprostu Rome, poste-restante. A teraz niech Anioł szczęścia i pokoju będzie zawsze nad domem waszym. Nie zapomnij o wdzięcznym i przywiązanym ci *Zygmuncie.*

LIST XII.

Warszawa, d. 14 Stycznia 1844 r.

Mój drogi Edwardzie!

List twój kochany i taki dobry wczoraj odebrałem, ale powodu milczenia twego nie pojmuję dotąd. Od roku 1839 w lecie, kiedyś był łaskaw mi pieniędzy przysłać, ja pewno z piętnaście razy do ciebie pisałem, a nigdym odpowiedzi nie odebrał. Wreszcie przed trzema miesiącami odsyłając ci owe tysiąc rubli, także pisałem i pisałem jak do tego samego zupełnie, z którym na łódce pożegnałem się wśród błękitów morza i nieba 1835 roku.

Widzisz ztąd zaraz, że ani przestrzeń ani czas, najlekszéj odmiany nie przyniósł do serca mego, i żem wiecznie tak samo cię kochał i ufał tobie; lecz i na ten list nie odpisałeś nic, tylko rewers z podpisem twoim bankier mi przysłał.— Wtedy coś gorżkiego wstąpiło mi do duszy; nie myśl by jaka gorycz przeciwko tobie, o nie, ale sroga przeciwko losom moim; bo wydało mi

się, że nosisz w saméj głębi serca jakiś wyrzut ku mnie, i że on przeszkadza ci mówić ze mną. Wtedym oznajmił Skibickiemu żal mój i prosiłem go, by do ciebie o nim napisał!

Nie porozumiemy się Edwardzie drogi aż się obaczym i głosem żywym nie martwą literą się pojednamy! Ten wyraz nie znaczy jakobyśmy poróżnionemi być mieli; ale tylko to, że przez martwy papier dojść nam nie sposób do wyższéj, świeżéj jedności duchów naszych! — Mogłeś i słusznie bardzo mieć przyczynę pewnego żalu do mnie, do ducha mego! Słyszałeś o mnie, nie dotykałeś się mnie; nie możesz łańcucha ogniwów, zwanych zdarzeniami zewnętrznemi i uczuciowo wewnętrznemi, a z których żywot ludzki się ogniwi, obliczyć dokładnie w piersiach moich! Ale jeślim dbał o czyj sąd, to o twój, bo ciebie szanuję i kocham! — Sąd ten kiedyś wydasz o mnie, mnie samemu, gdy się spotkamy, i gdy się połączym grą wspólną myśli, gdyby grą światła! Do téj godziny przezemnie upragnionéj, polegajmy jeden na drugim, — wierz mojemu przywiązaniu, jak ja twojemu wierzę.

A co panie Edwardzie, czy stanowisko Hegla nie przekroczone w jednym kierunku piekielnie; — bo osobistość Boża i ludzka zaprzeczone przez szkołę wielkiego Mistrza, — a w drugim kierunku Anielsko, — bo są ludzie, którzy daléj rzecz powiedli; wsparli się na logice jego; ale wykazali, że ona prowadzi do innych wyników niż jego własne, bo do *Czynu* opatrznego, bo do uznania konieczności religijnéj, bo do nowych wieków ludzkości.

Czyż sądzisz, że Chrystus nadaremno obiecywał *Pocieszyciela?* I czyż epoka tego pocieszyciela nie nad-

chodzi? Trzecia ostatnia na planecie,—korona historyi—dopełnienie się proroctw i żądzy nieskończonéj ducha człowieczego?

Napomykam tylko o tém, bo tomy nie ćwiartki o tém pisać,—jeśli pisać;—jeśli *uczuć*, to i ćwiartki nie potrzeba;—jedno trzeba w własną spojrzéć głąb i spojrzéć w wewnętrzny świat.

Przyszlij mi twój dokładny adres, żonie proszę złóż moje uszanowanie i najserdeczniéjsze ukłony jéj, jak sobie samemu od jéj siostry cioteczněj, od Elizy. Do obaczenia się Edwardzie drogi, twój na zawsze *Zygmunt*.

Każ tam czasem u siebie mszę odmówić za duszę Konstantego.

KONIEC.

DATE DUE
